

Krystyna Kofta

Autobiografizowanie jak powietrze

Autobiografia. Literatura. Kultura. Media nr 1 (2), 99-103

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



KRYSTYNA KOFTA•

Autobiografizowanie jak powietrze

Słowa kluczowe

pisanie, notatka, dziennik, pamięć, autobiografia

Notatki z codzienności zaczęłam robić, gdy nauczyłam się pisać. Czytałam w wieku pięciu lat. Nie podobały mi się książeczki dla małych dzieci, może oprócz smutnych baśni Andersena. Zaczęłam pisać swoje. Bohaterka *Wiórow* opowiada czytana w domu książkę *U ołtarza boga słońca*. To byłam ja, opowiadałam dzieciakom z podwórka historię faraona, któremu kapłani zza ołtarza szeptali boskim głosem co ma robić, całą historię wymyślałam codziennie, to było jak pisanie powieści w odcinkach. Wysłałam do „Płomyczka” na konkurs własne opowiadanie. Miało to być „Wspomnienie z wakacji”. Wymyślone od początku do końca, nigdzie nie byłam, nic takiego się nie wydarzyło. Dostałam wyróżnienie a może nagrodę! Wtedy właśnie powstały pierwociny moich dzienników – dzienniczków. Znalazł się tam pierwszy zanotowany sen z podstawówki. Krótka notatka ze snu. Przez, zawsze uchylone ze względu na astmę ojca, górne okno naszego poznańskiego mieszkania „wchodzi” olbrzymia męska owłosiona łapa, wypełnia pokój, zbliża się do mnie, chowam się przed nią w kącie pokoju, żeby mnie nie zadusiła, bardzo się boję. Ten sen powtórzył się kilka razy, ale gdyby nie notatka, nie pamiętałabym go tak dokładnie, jak opisałam później w *Wiórach*. Te sny notowałam, bo okazało się, że nikt na podwórku nie ma takich. Zapisywałam też wymyślone historie, imiona bohaterów, opowiadałam książki, które rzekomo czytam, a nie mogę nikomu pożyczyć, bo to dla dorosłych i czytam, gdy tata nie widzi. Wymyślałam romanse, jakieś pola diamentowe, o które walczą rodziny, opisywałam truciznę podawaną do śniadania, żeby się na nią uodpornić. Może przez te historie uważam, że wyobraźnia jest zmorą

* Kontakt z autorką za pośrednictwem: ingaa@op.pl

literatury, zwłaszcza wyobrażenia „bujna”. Dopiero przy pisaniu autobiografii zdałam sobie sprawę z tego, od jak dawna robiłam notatki.

W liceum pisałam dziennik po francusku, bo wcześniejszy pisany po polsku przeczytała matka, dowiadując się o rzeczach, które miały pozostać tajemnicą, zwłaszcza dla niej, dla której utrata dziewictwa i seks były grzechem śmiertelnym. Piękna szeroka halka z różowego płótna, uszyta przez matkę, została zakopana na plaży między Sopotem a Orłowem. Opisałam w swoim dzienniku całe to, ważne dla mnie, wydarzenie, które miało miejsce podczas obozu plenerowego, na jaki pojechałam w liceum plastycznym. Nie pominęłam żadnego szczegółu. Dlaczego w ogóle pisałam dziennik jako nastolatka? Czułam, że to co się teraz ze mną dzieje jest ważne, ale ucieka, że czas jest zawsze przeszły, jeśli się go nie zatrzyma – znika. Pamięć przegrywa z teraźniejszością, która natychmiast staje się przeszłością. Teraźniejszość umiera w niej, nie ma szansy na zatrzymanie w pamięci, jeśli nie jest traumatycznym wydarzeniem. A nawet i ono blaknie po upływie lat. Trzeba to zapisać, to jedyny dostępny sposób zatrzymania zdarzenia. Do dziś tak sądzę, gdy czytam o ważnych dniach i nocach. O śmierci bliskich, o miłości, kłótniach, kryzysach. O przeczytanych książkach, z których nic się nie ostało. I o tych, które pamiętam i czytam ciągle. Te wspomnienia idą pół kroku za mną, albo blisko, ze mną. Nie zastąpi tego ani fotografia, ani film, nagranie – nic. Tylko zapisanie i opisanie.

Może wpływ na tak wczesne pisanie dziennika miało to, że zaczęłam pisać krótkie opowiadania. Zapisywałam też śmieszne albo uwłaczające powiedzenia nauczycieli i uczniów. Ich lapsusy. Nie wszystko jednak było śmieszne. Pisałam o stanie zdrowia ojca, zawałach, trudnościach w oddychaniu. Już wtedy dużo myślałam o śmierci. Lęki pojawiały się nagle. Także zakazy, jakie stosowała matka: tego ci nie wolno, to dziewczynce nie wypada. Z datami. Wszystkie dzieci chodziły na prywatki, ja nie. Były zapisy kłamstw, jakimi racyłam rodziców, gdy samowolnie, po dziewiątej klasie, zmieniłam żeńskie liceum na szkołę plastyczną. Chodziło o to, żeby się nie pomylić. Niektóre zeszyty dałam na przechowanie starszemu koledze – studentowi prawa, któremu bardzo się spodobały. Czytał je, choć mu zabroniłam. Wyprowadził się, ja wyjechałam z Poznania, zapomniałam je odebrać i przepadły. A były tam opisy randek, portrety kolejnych chłopaków oraz dziesiątki lektur! Opisywałam także sposoby, w jakie urzędy gnębiły mojego ojca, przedwojennego burżuaja. Kolega wyprowadził się z naszej kamienicy i przepadły. Jako licealistka wysłałam kiedyś zmyślony dziennik na konkurs do „Tygodnika Kulturalnego”. Tematem konkursu był: „Jeden miesiąc mojego życia”. Nie doczytałam, że był to konkurs dla rolników. Redaktor uznał, że mam talent, nawet przyjechał do Poznania, żeby nawiązać współpracę, bo twierdził, że mam styl Saroyana. Niewykluczone, że się zapatrzyłam, bo wtedy był czas Saroyana. Potem dorosłam i zaczęłam się wstydzić tego egzaltowanego półprawdziwego dziennika. Już wiedziałam, że prawdziwy dziennik jest moją świętą tajemnicą i nie może być nikomu pokazywany. Przestałam pisać.

W czasie studiów robiłam notatki podczas wykładów i seminariów, między nimi była gra w okręty, albo w inteligencję, bo zajęcia często były nudne. Były także dziesiątki rysunków, komentarze, uwagi na temat profesorów, ich portrety. Zachowało się trochę tego, na przykład z 1966 roku (umieściłam krótkie fragmenty w swojej autobiografii), to był pierwszy rok studiów na polonistycie w Poznaniu i pierwszy rok małżeństwa, są tam nawet ćwiczenia podpisów ze swoim i z nowym, męzkowskim nazwiskiem. Ciągłe obecny jest w dziennikach mój przyjaciel pisarz Jan Komolka, z nim siedziałam w ławce. Debiutował w konkursie na debiut powieściowy ogłoszonym przez Wydawnictwo Czytelnik. Wygrał go *Ucieczką do nieba*, książką o domu poprawczym, gdzie pracował jako wychowawca. Ślady naszych spotkań i rozmów są w moim dzienniku. Ja nie wysłałam powieści na ten konkurs, bo jeszcze nie skończyłam *Wizjera*. Są daty spotkań, i to, z kim się spotykaliśmy: Barańczak, Krynicki, Krystyna Białobok, późniejsza żona Ryszarda Krynickiego, Oleś Labuda, później mąż Barbary, który podarował mi dzienniki Kafki, jedną z najlepszych, najbliższych książek mojego życia, i maszynę do pisania, gdy jego ojciec, wybitny historyk, kupił sobie nową. Na tej maszynie napisałam *Wióry*. W dziennikach są portrety mieszczan poznańskich, zasiedziały rodzin, moich krewnych, są dokładnie spisane opowieści ciotki babki mojego męża, Eugenii Stimm, jej przeżycia, ucieczka z Warszawy, Rosja, żydowskość ojca, jego pobyt w Samarkandzie z żoną, pochodzącą z Ukrainy, która uratowała mu życie, podczas gdy reszta rodziny zginęła w getcie warszawskim. Ten wątek jest mocno zaznaczony w sztuce *Pępowina*. Nie napisałabym jej, gdyby nie opowieści ciotki. Wracałam do domu, z oczami czerwonymi od płaczu, siadałam do dziennika i zapisywałam wszystko, co mówiła ciotka. Nie nagrywałam jej. Nawet nie wiem, czy by chciała. Słuchałam, nie pytałam. To nie był czas nagrywań wszystkich i wszystkiego. Historia ciotki Geni leżakowała w którymś z licznych zeszytów i czekała na swoją kolej. Wtedy pisałam dużo w dziennikach. Zapisane losy leżą, nigdy nie wiadomo, co z dzienników się przyda.

Mój „dorosły” dziennik zaczął pisać się sam. Nie był „literacki”, mimo że już pisałam powieść o schizofreniczce, której nigdy nie rozwinęłam, ślady zostały w dziennikach. Ten „prawdziwy” dziennik rozpoczął się, gdy urodziłam syna Wawrzyńca. Pierwsze notatki są oszczędne, ograniczają się do dwóch przmiotników: lewa, prawa. I godziny. To były godziny karmienia dziecka, lewa i prawa to były piersi, chodziło o to, żeby nie pomylić! Czasami dodana jest waga przed karmieniem i po nim, żeby zobaczyć, ile wypił. Stopniowo to się obudowało wizytami rodziny i przyjaciół. Dochodziła radość z obserwowania małego, notatki z postępów, jakie robi dziecko, czasami z chorób, ale była też samotność, smutek. Poczucie opuszczenia, bo przez pierwsze cztery lata byłam zdana na siebie. Mój mąż pracował, był asystentem na uniwersytecie, pisał doktorat. Pomagał, kiedy mógł. Te zapiski były węzełkami pamięci tego, co działo się z dzieckiem, zapiskiem pretensji, depresją, pomysłami na samobójstwo. Są tam szkice powieści, sceny ze sztuk nigdy nienapisanych. Rysunki konstrukcji

powieści, zwykle na planie koła. Opisy nienamalowanych z braku czasu obrazów. Były też założenia do rysunków, jakie przygotowałam na wystawę, robiłam je gdy dziecko spało, albo gdy już synek miał dwa, trzy lata, siedział obok, patrząc jak ja rysuję ptaki i ryby, on tworzył swoją faunę i florę.

Dziennik od samego początku zawsze piszę ręką! Nawet teraz, gdy tak łatwo stuka się w klawiaturę. Nigdy nie traktowałam pisania w dzienniku terapeutycznie. Nawet opublikowany dziennik choroby *Lewa, wspomnienie prawej*, nie był autoterapią. Był zapisem zdarzeń i uczuć. Został wyjęty ten rok, z kilkudziesięciu lat pisania, jako dowód przeżycia traumy, sposobu organizacji wokół choroby i dowodów wsparcia, jakie dostawałam. Dziennik to nie jest także spowiednik czy chętne ucho do wysłuchania zwierzeń. Z dzienników czerpię materiały do powieści. Jeśli piszę, że 14 grudnia 1981 roku padał śnieg i dzieci, mimo wprowadzenia stanu wojennego, jeździły na sankach w Dolinie Szwajcarskiej, to wiem, że tak było, mieszkaliśmy wówczas na Mokotowskiej, zaprowadziłam Wawrzyńca, żeby pobawił się z dziećmi. Wiem, bo mam notatkę w dzienniku. W stanie wojennym przeżyłam moment grozy związany z dziennikami. Było u mnie dwóch esbeków, było o włos od rewizji, ale udawałam naiwną kobietę, która nie rozumie, o co chodzi. A chodziło o ukrywającego się u nas Tomasza Jastruna. Udało mi się ich spławić, w szufladzie było przygotowane do druku podziemne pismo „Wezwanie”. Gdyby przy okazji wzięli moje dzienniki, mieliby kopalnię informacji o ludziach opozycji, bo wielu dobrze znałam, a o to przecież im chodziło, by stwarzać wrażenie, że są wszystkowiedzący. Zapakowałam wszystko w kartony, zakleiłam taśmą i dałam na przechowanie sąsiadom.

Powieść, nawet jeśli nie jest autobiograficzna, wymaga szczegółów, tak samo jak dobre kłamstwo. Byle nie przesadzić, bo to stanie się podejrzone. Takie szczegóły są do wzięcia z dzienników. Po chorobie miałam długi okres obrzydzenia do fikcji. Wtedy zdecydowałam się na publikację dziennika choroby, a później wydałam *Monografię grzechów z dziennika 1978–1979*. Podczas żmudnych prac redakcyjnych przestałam prowadzić dziennik. Nie pisałam prawie dwa lata. Czułam się odarta z czegoś intymnego, i co więcej, sama do tego doprowadziłam. Powoli zaczęłam wracać do notatek, są inne, jest ich mniej. Opublikowanie stało się utratą niewinności, dotarła do mnie wiedza, że tajemnice mogą zostać ujawnione. Przez moment chciałam wszystko spalić, ale ręka mi zdrząła. Na razie jeszcze korzystam z nich przy pisaniu kolejnej powieści.

Dziennik to moja pamięć, baza, bank wspomnień, mój warsztat rzemieślniczy. Powietrze, którym oddycham, gdy piszę książkę. To jest autobiografizowanie, bez którego nie ma prozy, prawda osobista potrzebna jest nawet w literaturze SF.

Autobiography writing like an air

Keywords

writing, note, diary, memory, autobiography

PROSIMY O CYTOWANIE TEGO ARTYKUŁU JAKO:

Krystyna Kofta, *Autobiografizowanie jak powietrze*, „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media” 2014, nr 1 (2), s. 99–103.